

ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU



Zamknęli dom na kłódkę, mgnęli obejście i weszli w miedzę szeroką, z dwóch stron wysoką ścianą kłosów ujętą, jak złocisty tunel. A w polu już ludno było i gwarno. Wiadomo, jak w żniwa. Już tu i ówdzie rozlegało się klepanie kos, już słychać było chrzęst żętego zboża, śpiewki i nawoływania.

Gdy przyszedł na miejsce, stryjenka wtknęła Włódkowi sierp do ręki i powiedziała:

— Tyś najmłodszy, ty pierwszy snop zeżniesz. Taki już u nas obyczaj.

Włodek, prawdę powiedziawszy, pierwszy raz w życiu sierp trzymał w ręku i nie bardzo wiedział, jak się z nim obchodzić. Nie dał jednak po sobie poznać i zabrał się do roboty. Zamachnął raz — ostrze mu się w słomie zaplątało, ani go wyciągnąć. Kłosa się zmierzwiły, jeden długi przy samej ziemi użnięty a drugi króciutki, że i chwycić nie ma za co. Spróbował drugi raz — to samo wyszło. A zdawało się, że to tak łatwo.

— A nie zawracajcie dziecku głowy — zaśmiał się stryj — palec sobie jeszcze utnie i tyle pożytku z tego będzie.

— Niech żnie — upierała się stryjenka. — Czekaj, ja ci pokażę jak się żnie. Najpierw zagarnij sierpem, nie dużo, garstkę, teraz chwyć ręką i sierp pociągnij, ot tak. Nie śpiesz się, pomalutku. A co zeżniesz, to za siebie odkładaj w jedno miejsce.

Straszenie się Włodek namęczył nim ten mały sноп zeżnął. Aż się spocił. Stryj tymczasem, kosę naostrzył i robotę miedzy wszystkich rozdzielił. Kto ma żąć, kto wiązać, kto wreszcie snopki ustawiać. To ustawianie snopków jak się Włodek później dowiedział, nie było tak ważne, ale stryj chciał, żeby pracowali wszyscy, i żeby każdy czuł się tu w polu potrzebny. Więc snopki dźwigał Włodek. Chciał koniecznie wiązać, ale ani rusz nie mógł skrócić powróśla. Patrzył z zazdrością jak Tadek zręcznie bierze garść kłosów, jak je przytrzymuje kolanami i kręci, a potem ściąga nimi mocno snopkę. I snopkę trzyma się, nie rozwiązuje, nie rozpada. Tadek obiecał mu, że jak będą w południe odpoczywać, to go nauczy i Włodek czekał cierpliwie.

Robiło się coraz bardziej gorąco. Koczka stryja na piecach pociemniała, pot spływał mu ciurkiem z twarzy. Stryjenka poszła do domu obład gotować.

Tadek raz w raz to na niebo, to na miedzę spoglądał, czy daleko jeszcze do południa i czy prędko już będzie można wyciągnąć się w cieniu.



— Nic synku, nic — nie przerywając roboty przemówił stryj — im więcej się napracujesz, tym bardziej ci będzie ten nowy chleb smakował.

Ale widocznie żał mu się syna zrobiło, bo po chwili dodał:

— Jakiś bardzo zmęczony, to siadź sobie na miedzy. Matki tylko co nie widać. A ty — zwrócił się do Włodka — jak tam, rękami jeszcze ruszasz?

— Ruszam — odpowiedział Włodek. — Jak się nauczę, to na przyszły rok i żąć potrafię.

— Ho, no — zaśmiał się stryj. — Tego roku też już żąć.

Przybiegła stryjenka zdyszana, niosąc garnek kwaśnego mleka, chleb i kartofle.

— Uf, jak się śpieszyłam. Pewności głodni.

Usiedli wszyscy na miedzy i jedli z jednego garnka, bo przecież trudno w pole wszystkim miski nosić. Włódkowi bardzo to się podobało. Potem odpoczęli trochę i znów zabrali się do roboty.

A gdy słońce ku zachodowi chylić się poczęło, tam gdzie rano jeszcze falowało złote zboże, teraz szarzało ściernisko z ustawionymi na nim rzędem snopkami. Wracali do domu zmęczeni i weseli. Roboty jeszcze na jutro i na najbliższe dni zostało sporo, ale za to chleba w ziemie nie zabraknie.

Gdy wyszli na drogę, wyminał ich wóz tak naładowany snopami, aż osie trzeszczały. To Matjas, sąsiad stryjów, tak się tego roku pośpieszył.

A ze wszystkich stron, ze wszystkich miedz szli ludzie z kosami, z sierpami, z pękami ostatnich polnych kwiatów. We wsi tej i owej chaty podniósł się dymek i bił prosto w niebo — znak, że jutro pogoda będzie ładna. Ludzie gotowali wieczrę, rozmawiali o dniu dzisiejszym i kładli się spać, myśląc już o jutrzejszej pracy. Na niebo wyszedł księżyc, jasny i pyzaty.

Włodek tego dnia zasnął tak prędko, że nawet nie zdążył się rozebrać. Nie doczekał się nawet kolacji. Przy stole z przygotowaną do jedzenia łyżką chrapał tak, że go matka dobudzić nie mogła. Nie przebudził się nawet, gdy go rozbierali i kładli do łóżka. I tak spał aż do rana, póki w domu znowu ruch się nie zrobił i nie zaczęli przygotowywać się do roboty.



Ojca Piotr pamiętał jak przez mgłę. Czasami przed zaśnięciem zjawiała się przed nim czarna, kędzierzawa głowa pochylona nad szewskim młoteczkiem i równocześnie napływało wspomnienie jakiejś wesołej piosenki, nuconej półgłosem. Takiego ojca zachował Piotr w swojej pamięci. Ale to wspomnienie coraz bardziej zamazywało się i łączyło z wesołą, figlarną twarzą starszego brata Antoniego. I Piotruś czasami sam nie wiedział dobrze czy mężczyzna, który kiedyś, kiedyś dawno od rana do nocy szyl buty to był ojciec czy Antoni.

Gdzie się ojciec podział tego nie wiedział. Nie umarł, nie było pogrzebu, nie wyjechał, bo nie żegnał się z nikim — znikł i nie było go. Matki nie pytał. Zawsze była zapracowana i na wszelkie pytania odpowiadała najczęściej: „nie wiem“ albo: „nie mam teraz czasu“.

Antoni też szyl buty jak ojciec. Był czeladnikiem na sąsiedniej ulicy u starego znajomego rodziców. Do domu przychodził rzadko. Ale Piotr na te jego wizyty czekał z niecierpliwością. Bo Antoni zawsze z sobą jakiś podarek małeńki przyniósł i, co było najprzyjemniejsze, brał Piotrusia z sobą do miasta. A choć chłopak wszystkie uliczki Paryża znał jak swoje własne podwórko, jednak przyjemnie mu było chodzić tak ze starszym bratem i słuchać jego opowiadań. Antoni był zawsze wesoły, zawsze śpiewał i żartował, a figle umiał płatać jak nikt na świecie.

Ale pewnego razu, gdy szli brzegiem Sekwany wymięła ich wspaniała, złocista karetka, zaprzężona w cztery białe konie. Lokaj w obcisłej, szafirowej liberii siedział na koźle. Karetka sunęła powoli. Piotr przystanął. W jego dziednicy takie karety nie zjawiały się. Były na niej wymalowane złote róże, a przez otwarte okienko mignęła szczupła, piękna, jak na obrazku, twarz mężczyzny w białej peruce. Piotr stał jak urzeczony, z zachwytem otworzywszy usta. Zatrzymał się również i Antoni. Karetka już dawno przejechała a oni stali jeszcze i patrzyli w ślad za nią. Nagle Antoni powiedział szorstko krzyknął prawie:

— No chodź, czemu się gapisz? Diabła nie widziałeś?

Piotr popatrzył zdziwiony. W pierwszej chwili myślał, że brat swoim zwyczajem żartuje. Ale Antoni nie żartował. Był bladły, usta mu się trzęsły, pięści miał zaciśnięte.

— Co ci się stało? — przestraszył się Piotr. Takim nie widział go jeszcze nigdy.

— Pan de la Vie — szepnął Antoni, zamiast odpowiedzi i z nienawiścią spojrział w stronę, gdzie zniknęła złocista karetka.

— Pan de la Vie — powtórzył. — Nasz największy dobroczyńca. Jego zapytaj, dla czego żyjemy jak sieroty, jego za-

pytaj, gdzie jest nasz ojciec. Ale ty go nie zapytasz. Przed jego oblicze nie dopuszczą cię nigdy.

Szli dalej w milczeniu. Antoni nie mówił nic, Piotr bał się go zaczepiać. Weszli na przedmieście Saint-Antoine i wtedy Antoni pierwszy raz odezwał się, wskazując ręką wielką kamienną twierdzę:

— O, widzisz!

— Widzę, to Bastylia...

— Tak, to Bastylia, niech będzie na wieki przeklęta. Tam z łaski pana de la Vie, gnije twój ojciec.

Piotr zdreptał. O okropnościach Bastylii słyszał nie raz. Każdy mieszkaniec Paryża, każde dziecko wiedziało o tym strasznym, ponurym więzieniu, do którego zamykano bez sądu, nie wiadomo za co, czasem przez zemstę, albo dla kaprysu i skąd wyjść było bardzo trudno. A zamknąć do tego więzienia mógł każdy, kto tylko dostał kartkę, tak zwany „lettre de cachet“, na której wypisywał nazwisko tego, kogo chciał uwięzić.

— Ale za co? — wybełkotał wreszcie. — Ale za co?

— Tego nikt nie wie. Jakim sposobem ojciec dostał od pana de la Vie zamówienie na pantofle też nikt nie wie. W naszym cechu są ostre przepisy. Kto robi pantofle, ten nie może robić butów, a kto robi buty, ten nie może robić pantofli. Ojciec robił buty. Nie wiem jak się stało, że wbrew wszelkim zwyczajom, właśnie ojcu wypadło dla tego diabła robić pantofle. Dość, że robił i widocznie w czymś nie dogodził. Może coś powiedział, a może pantofle były nieładne. Pan rozgniewał się, no i nie mamy teraz ojca...

Potem, gdy był trochę starszy Piotr dowiedział się, że w Bastylii siedzi setki więźniów że prócz ludzi prostych jak ojciec, są tam i wielcy uczeni i nawet możni panowie, którzy czymś narazili się u dworu i dostali fatalne „lettre de cachet“.

Minęło parę lat. Piotr zaczął terminować u tego samego szewca co Antoni. Stykał się teraz z ludźmi starszymi, chętnie słuchał ich rozmów. A w Paryżu wrząło. Był rok 1789. Król Ludwik XVI ze swoim dworem hulał — w kraju zaczęła się nędza. Podatki były coraz większe, coraz cięższe było je płacić. Coraz częściej do domów tych na przedmieściach zaglądał głód. Coraz to nowe ofiary szły do Bastylii.

— Gdzie oni się tam pomieszczą? — dziwili się ludzie.

— Ze też ten potwór nie pęknie — dawali inni.

A byli tacy, co mówili:

— Jak przyjdzie czas to pęknie. Pomóżemy trochę i pęknie. Zbyt dużo już niesprawiedliwości nazbierało się.

W maju król zwołał Stany Generalne. Jakby świeży wiatr powiał. Teraz się coś zmieni. Do pracowni szewskiej na przed-

mieściu Saint-Antoine przychodziły coraz to nowe wiadomości. Nie wesołe jednak. Król nie chce słyszeć o żadnych reformach. Minister Finansów Necker, po którym dużo sobie obiecywano też sprawy te pomija. Rośnie nędza, państwo chyli się ku upadkowi, Stany Generalne nie mogą dojść do porozumienia. Mieszczanie domagają się przekształcenia ich w Zgromadzenie Narodowe. Do tej pory Stany Generalne obradowały w ten sposób, że oddzielnie radziła szlachta i duchowieństwo a oddzielnie tzw. stan trzeci — mieszczenie. Przy głosowaniu nie liczone poszczególnych głosów, lecz każdy stan miał jeden głos. Mieszczanie więc mogli złożyć tylko jeden głos mimo że mieli więcej niż połowę wszystkich posłów.

— Tak być nie może — buntował się stan trzeci. — Żądamy równych praw.

— Żądamy sprawiedliwości i chleba — wołał lud Paryża.

— Żądamy wolności...

Na przedmieściu Saint-Antoine było coraz goręcej. Dyskutowano o wszystkim, co działo się w Stanach Generalnych. Potajemnie czytano pisma, znanego już w całym Paryżu „Przyjaciela Ludu“ — Marata.

Pewnego wieczoru Antoni przyniósł radosną nowinę: deputowani stanu trzeciego ogłosili siebie Zgromadzeniem Narodowym i odtąd podatki tylko Zgromadzenie będzie miało prawo nakładać. Ludzie tańczyli na ulicach. Król kazał zamknąć salę posiedzeń. Pod Wersalem gromadziły się tłumy. Stan trzeci nie dał się przestraszyć. Zebrał się w innej sali, w sali gry w piłkę. Tam deputowani poprzysięgli, że nie wyjdą póki nie opracują konstytucji. Ludzie nie spali po nocach. Czekali na nowiny, czekali na reformy. Coraz częściej powtarzano słowa: „wolność, równość i braterstwo“, coraz częściej dawał się słyszeć okrzyk: „Niech żyje lud“.

Król przestraszył się. Ustąpił. Do Paryża jednak zaczęły ściągać wojska najemne. Dwór królewski najwidoczniej bał się narodu. Na zniechęcone wojska lud patrzył spode łba.

Minął czerwiec. Nastąpił skwar i upalny lipiec. Coraz więcej wojska kręciło się po mieście. Pracownia szewska świeciła pustkami. Wszyscy byli na ulicach. Spotykali się wieczorami lub późno w nocy. Opowiadali sobie nowiny. Co kto widział, co kto słyszał, co robił. Nowiny były coraz bardziej burzliwe. Na przedmieściach lud powstał. Były już starcia z wojskami królewskimi. Podobno po wsiach chłopcy również się buntują.

Pewnego dnia Antoni przyszedł zakrwawiony z głową przewiazaną chustką.

— Pobiliśmy gwardzystów — oświadczył. — Wszystkich ich należałoby przepędzić precz z Paryża. Jasne przecież po co tu gromadzą się. Wolność poczuli nosem i chcą ją stłumić.

14 lipca 1789 roku

(Dokończenie ze str. 2.)

— Nie tak to łatwo wolność stłumić, gdy się raz rozpali — odezwał się ktoś.

Piotr patrzył na brata z zachwytem. Zazdrościł mu i tego płomienia w oczach i zakrwawionej chustki na czole i sławy bohatera. A równocześnie ogarnął go niepokój. Co będzie jeżeli Antoniego zabiją? Od tej pory nie opuszczał go ani na krok. Chodził z nim od dzielnicy do dzielnicy do różnych mieszkań, do różnych ludzi. Razem z nim też brał udział w natarciu na Dom Inwalidów, skąd zabrano broń ręczną i armaty. Teraz lud Paryża był już uzbrojony. Teraz stał się groźny i stawiał żądania. Panowie zaczęli chwilami milczkiem uciekać ze stolicy.

Zabrakło żywności — lud rozbił magazyny. Z rąk do rąk powędrowały pachnące bochenki chleba.

Czternastego lipca Piotr wyszedł z domu o świcie. Na ulicach mimo wczesnej godziny gromadziły się już tłumy. Słońce świeciło jasno, jak przed burzą. W blasku jego widać było wyraźnie każdy dom, każdy niemal kamień. Dzielnica Saint

Antoine zaludniała się coraz bardziej. A nad słonecznymi ulicami, nad rozfalowanym, rozkrzyczanym tłumem jak ciężka chmura czerniła Bastylia. Ku niej właśnie ciągnął lud Paryża. Bez śpiewów i bez piosenek. W milczeniu, z groźnym pomrukiem, jak fala. I nagle skądeś gruchnęła wieść, że na pomoc idą armaty. Nie była to plotka ani złudzenie — to były prawdziwe armaty.

Piotr zgubił Antoniego w tłumie. Ale nie czas go było teraz szukać. W stronę zniechęconej twierdzy posypały się wyrywane z bruku kamienie. Z gołymi rękami ułdzie rzucali się na wysoki mur. Pod niebo bił okrzyk: „precz z Bastylią!“, „precz z tyranią!“, „niech żyje wolność!“. Odezwały się armaty. To dodało wszystkim otuchy. Ponura i groźna Bastylia broniła się.

Piotr razem z innymi wrywał kamienie z bruku. Przeklinał siebie, że w porę nie zaopatrzył się w broń. Mógł przecież przegapić. Nagle zobaczył tuż koło siebie Antoniego. Opaska zsunęła mu się z czoła i niezagojona jeszcze rana świeciła w słońcu jak żywa krew. Ale nie zauważył nawet tego. Z uwagą i napięciem celował w małe czarne okienka Bastylii.

— Tak trzeba braciśku — powiedział tylko — za krzywdy nasze, za niesprawiedliwość... o wolność.

Jakaś bezzębna kobieta tuż obok niego wygrażała w powietrzu pięściami. Ziemia drżała od huku armat i krzyku tysięcznych tłumów. Koło głowy raz po raz wiszały kulki. Ktoś obok krzyknął i upadł. Krew bluznęła wysoko w górę. Piotrowi pot przesłaniał oczy. Coraz trudniej było w tłoku schylać się po kamienie. W pewnej chwili poczuł jakby silne uderzenie w piersi i dalej już nie wiedział, co się działo.

Gdy oprzytomniał, leżał w bramie jakiegoś domu, koło niego krzątały się kobiety i poszarpanymi kawałkami płótna tamowały krew. Potem zauważył, że koło niego w bramie leży kilka zakrwawionych ścian. Jedni jęczeli, inni nie dawali znaku życia. Z boku stał Antoni. Czarne włosy strączkami przylepiły mu się do spoczonego ciała. Uśmiechnął się, gdy Piotr otworzył oczy.

— Żyjesz — powiedział i niespodziewanie pochylił się i mocno go pocałował.

Z ulicy dobiegał ciągle gwar. Tylko huk armat już nie było słychać. Piotr próbował podnieść się.

— Puśćcie mnie. Ja tam chcę iść. Precz z Bastylią!

— Już jej nie ma — powiedział Antoni — Bastylia poddała się.

ZOFIA KWIECIŃSKA.

BENEDYKT HERTZ

KRZYSIA I JANEK
na wakacjach

Ta propozycja nie spodobała nam się. Jakże! w korycie z chlewu mamy podróżować?... Jeszcze czego! A stary w dodatku drożył się. Żądał listu od cioci, że nam pozwała urządzić wyprawy morskie na stawie miynarza.

— Nic z tego nie będzie — mruknął trąciwszy mnie Janek.

Wyszedszy od miynarza, przystanęliśmy, aby się naradzić. Mielśmy już porzucić myśl użycia przejażdżki okrętem i poświęcić się rybactwu, gdy Krzysia stanowczo się temu oparła.

— Ani Noe, ani inni powodzianie nigdy nie zajmowali się rybołówstwem. Musimy koniecznie mieć arkę.

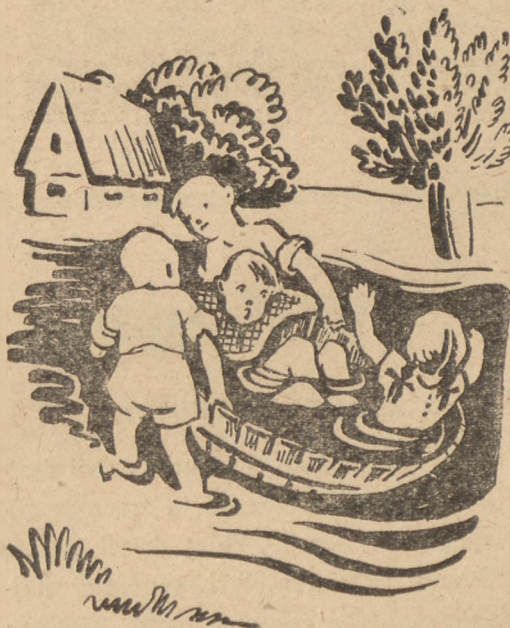
— Dobrze, ale skąd ją wziąć?

— O, widzisz... — zawołała Krzysia, wskazując balie, opartą o studnię. Ha! na bezrybiu... i balia za korab służyć może. Janek wydał zaraz odpowiednie dekrety. A więc mnie z hetmana przemianował na kontradmirała, Romek został wilkiem morskim. Jóźka i Woitusia nie można było znaleźć.

Zaczął się gromadzenie prowiantów, wyznaczanie marszruty i szukanie wiosel. Postaraliśmy się o suchary, o zapas wody słodkiej i szalupy ratunkowe. Te ostatnie sporządziliśmy tym samym systemem, jakim Krzysia wyrabiała helmy papierowe, a ponieważ gazet w domu nie brakowało, więc można było bez trudu na każdego pasażera po kilka łodzi ratunkowych przeznaczyć. Ogromnie to podniosło bezpieczeństwo wyprawy, bardzo w istocie ryzykownej. Janek bowiem postanowił opłynąć dookoła Afryki, żeby zachować, ile zostało tam jeszcze wysp bezludnych. Na każdej takiej wyspie mogą z łatwością znaleźć się kanibale, a wów-

czas, nikt nie może przewidzieć dokąd i czym się zajędzie. Ale trudno, albo się jest szukającym przygód bohaterem, albo piecuchem, lękającym się nos wytknąć z chałupy.

Po sprowadzeniu wiosel — to jest jednej miotły i jednego kija po zepsutej rocie, przenieśliśmy nasz statek tam, gdzie — jak sądził Janek — woda była najgłębsza i rozmiar kałuży pozwalał uważać ją za Ocean Atlantycki. Pierwsza rozsiadła się w arce Krzysia, następnie usadowiliśmy Romeka, po Romku wlaźłem ja... Miałem wrażenie, że coś mi pod no-



gą trzasnęło; ale nie powiedziałem... Po co? Zaraz by mówili, że się lękam kanibalów. Janek, jako główny dowódca wyprawy, ostatni zajął miejsce w korabiu i wydał mnie i Romkowi rozkaz:

— Chłopcy, do wiosel! Odbijać.

Bał łatwo powiedzieć: „odbijać“ — trudniej to wykonać. Póki nasz statek był pusty, kołysał się na powierzchni wody; z chwilą jednak otrzymania pasażerów tak się zagłębił, że szorował po dnie mor-

skim. Daremnie więc wysilamy się z Romekiem, daremnie wbijamy wiosła w błoto... arka trzeszczy, a ruszyć z miejsca nie chce.

— Nie będzie innej rady — mówi Romek — tylko trza wysiąść i pchać balie.

— Jaką znów balie! — rozgniewał się Janek — czy nie wiesz, że to jest korab?... Arka taka, jak miał w czasie potopu Noe.

Romek nie odpowiedział ani słowa. Spojrzał na Janka, popatrzał na nasz okręt i wzrucił ramionami. Potem wysiadł z balii i począł ją popychać. Widząc, że mu ciężko samemu, zdjąłem szybko trzewiki, pończochy i... nareszcie spełniło się inoje marzenie! Bosymi nogami zatelepałem w błocie, jak owe kaczkę i chłopaki z folwarku, którym tak bardzo tej zabawy zazdrościłem. Teraz wziąłem się gorliwie do pomagania Romkowi. I rzeczywiście arka ruszyła z miejsca. Niebawem prędko, ale zawsze... Sunęła po oślizłym dnie kałuży trzeszcząc coraz głośniejsze.

— Żeby się ino nie rozsypała — rzekł ostrzegająco Romek.

— Nic się nie bój, nie rozsypie się — odpowiedział Janek takim tonem, jakby był pewny, że rozkazów jego słuchać muszą nie tylko wojownicy Bawolego Rogu, lecz również przedmioty tak mało rozumiejące subordynację, jak obrećce i k'epki byle szaflika.

Zanim jednak zdążył wypowiedzieć swe przekonanie o trwałości naszego statku, gdy rozległ się trzask, środkowa deska z dna balii wypadła i wódz wraz z siostrą znalazł się po pas zanurzony w ciemnej, gęstej mazi, nie tyle podobnej do słonych wód Oceanu Atlantyckiego, ile do najzwyczajniejszego błota.

— Ojej, co się dzieje, zawołała Krzysia. — A nie powiedziałem, że się balia rozleci? — zaśmiał się Romek.

— Już ci raz powiedziałem: nie żadna balia, tylko korab — spokojnie przemówił Janek, usiłując wydostać nogi spod rozszarpanych klepek. Obrócił się plecami do góry, i posuwając się na czworakach po błocie, zajął naszą pomoc.

— Romek, podaj mi rękę, albo wiosło. Tylko prędko! Otrzymasz medal za ratowanie tonących.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Dwojaki

Dwojaki - bliźniaki
wędrowały dróżką —
Miały jedną rączkę —
miały jedno uszko.

Chociaż z jedną rączką,
choć z jednym uchem
można w świat wędrować
kiedy się jest zuchem.

Stał w pszenicy Straszek,
więc się pięknie kłania:
— W kłosach ziarna liczę —
Nie jadłem śniadania.

Cały dzień odpędzam
czereść wróbelków —
Radbym wypić mleka,
podjadł kartofelków.

Siadaj Panie Strachu
koło polnej gruszy,
pożyw się — więc jadł Strach
aż się trzęsły uszy.

Gdy już widać był
polewane denko —
Oblizął się Straszek
i skłonił z podzięką.



Mili braciszku, gliniane dwojaki,
weźcie pęk bławatków
i czerwone maki.

Idą strojne garnczki
dzwonią sobie głucho:
Co tam jedna rączka...
co tam jedno ucho!

Dziwią się żniwiarze,
dziwują żniwiarki
— widzieliście kiedy
wygodniejsze garnki?

Główki strojne w maki,
polerowane brzuszki —
toć to najpiękniejsze
na świecie garnuszki. —

— Dwojaki — bliźniaki,
połem wędrujące,
jakż to czarodziej
tak zmyślnie was złączył?

Ni żaden czarodziej,
ani święty jaki
jeno prosty garncarz
ulepił dwojaki. —

KRYSTYNA ARTYNIEWICZ

KACIK ROZRYWKOWY

CWICZENIA NA BYSTROŚĆ I SPOSTRZEGAWCZOŚĆ

W ogrodzie, na krzakach, w miejscach niezbyt widocznych zawieszamy małe, różnokolorowe szmatki, czy też skrawki różnobarwnych papierków. Następnie dzieci, (z których oczywiście żadne nie może brać udziału w zawieszaniu gałganków) wychodzą do ogrodu na poszukiwanie tych szmatek. Czas szukania jest oczywiście ściśle ograniczony i uzależniony od ilości porozwieszanych szmatek. Jeżeli szmatek tych, czy też papierków jest bardzo dużo i duża grupa dzieci je szuka, wówczas czas trwania tych poszukiwań musi być dłuższy. Nie powinien jednak przekraczać 10 minut.

Wygrywa, a raczej zostaje uznane za najbardziej spostrzegawcze dziecko, które w ciągu tego czasu odnajdzie i przyniesie największą ilość szmatek, czy też papierków.

ZABAWA RUCHOWA

Dzieci tworzą koło, a jedno z dzieci znajduje się w środku. Dziecko to rzuca do góry zmiętą chusteczkę, którą dzieci starają się uchwycić. Dziecko, w ręku którego znajdzie się chustka, wykonuje ruchy, wyobrażające jakąś czynność. Np. pisanie, gnienie ciasta, jazdę na nartach, czy tyłwach, rąbanie, kucie konia itp.

Jeżeli dziecko znajdujące się w kole odgadnie jaką czynność oznacza wykonywany ruch, to staje w kole, zamieniając się na miejsce z dzieckiem, które schwyciło chusteczkę. W przeciwnym razie rzuca chusteczkę nadal i odgaduje w dalszym ciągu, póki mu się nie poszczęści.

LAMIGŁÓWKI—ZARCIKI



Podane to obok kratki mają wyobrażać przegrody w stajni. W tych siedmiu przegrodach należy umieścić sto koni w taki sposób, aby w każdej przegrodzie była jednakowa ilość.

*



W podane obok trzy kratki wpiszcie wyraz „kapusta” w ten sposób, aby jedną z kratek pozostawić niezajętą, a w dwóch umieścić jednakową ilość liter.

ROZWIĄZANIA Z NR 20 (80)

Zagadki:

1. Gołąb
2. Gałązka
3. Wielbłąd
4. Niebo
5. Listy
6. Sieć rybacka